

**Ogólnopolski Konkurs Poetycki
im. Władysława Broniewskiego
„O Liść Dębu”**

Konkurs zorganizowano pod Patronatem
Andrzeja Nowakowskiego
Prezydenta Miasta Płocka

XXIII edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu”
sfinansowana została ze środków
Urzędu Miasta Płocka

**XXIII edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Władysława Broniewskiego**

**„O Liść Dębu”
wiersze nagrodzone**

Płock 2011

Organizator konkursu i wydawca tomiku wierszy nagrodzonych
Książnica Płocka im. Władysława Broniewskiego w Płocku

Opracowanie redakcyjne:
Ewa Luma

Projekt okładki i opracowanie graficzne:
Dorota Zalewska

Fotografie:
Prace członków Płockiego Towarzystwa Fotograficznego im. Aleksandra Macieszy
prezentowane w Książnicy Płockiej
na wystawie „Mój Płock” 2011

ISBN
978-83-88028-60-X

Korekta:
Ewa Luma
Lidia Kobucińska

Nieblescy proletariusze i nieblescy futbolści

*Nie, nie musi to być,
żebym wiersz napisał,
pierw musi wiersz we mnie żyć,
żebym go wykołysał.*

Władysław Broniewski

Polityka stała się religią, religia polityką, zauważył Kierkegaard, a ja wiozłem w plecaku na rowerze ponad półtora tysiąca tekstów nadesłanych w tym roku do Książnicy Płockiej i zastanawiałem się, jak w poezji oddzielić jedno od drugiego. Jak odróżnić - zgodnie z sugestią patrona konkursu - wiersze tylko napisane i wiersze, które żyją zanim trafią na papier. Czyli wiersze powstające na doraźny, polityczny użytek i wiersze wymierzone dalej niż termin nadsyłania prac na konkurs. To już oczywiście nie te czasy, kiedy główna nagroda w turnieju literackim nie ustępowała dobrej krajowej pensji, zaś ogłoszenie drukiem wierszy (i własnego nazwiska jako autora) gwarantowało ten rodzaj sławy i chwały, których smak na podniebieniu nie ma sobie równych. Zostali go pozbawieni zarówno młodzi poeci wychowani na internetowym *santo subito*, jak i starsi literaci na świeckiej łasce sponsorów czy stowarzyszeń fundujących im kolejne tomiki. Ale ważący parę kilogramów plecak z zestawami tekstów mówił coś całkiem innego: że skronie nadal marzą o poetyckich laurach, a nagroda „Liść Dębu” nie utraciła społecznego prestiżu ani finansowego uroku.

Jadąc Grabówką w stronę Borowiczek i patrząc dokładnie tam, gdzie patrzył Broniewski, gdzie *Wiśła właśnie zakręca ku Dobrzykawu, ku Warszawie*, trochę się martwiłem, czy pośród tekstów w plecaku znajdują się takie, które jakoś nawiązują do poezji autora poematu „Mazowsze”. Laureatem „Liścia Dębu” formalnie najbliższym Broniewskiemu był Mirosław Bochenek czternaście lat temu (dobrze pamiętam, bo to rok mojego debiutu w płockim konkursie) a przez kolejne edycje związki nadsyłanych tekstów z patronem konkursu były coraz mniej wyraźne. A przecież na ducha Broniewskiego jako swojego poetyckiego dajmoniona wskazuje chyba najpopularniejszy i najbardziej wpływowy poeta ostatnich dwóch dekad - Marcin Świetlicki. Czyżby wycucie rymu i rytmu było darem coraz radszym, niemal zanikającym?

Czyżby wrażliwość na ludzką niedolę (można by napisać „lewicowa”, gdyby to słowo aż tak się nie sfatygowano) zastąpiła sentymentalna kokieteria? Czyżby czułość dla krajobrazu przegrała z rozczulaniem się nad sobą? Sześcioro jurorów tegorocznego „Liścia Dębu” dostało trzysta szesnaście szans - bo tyle zestawów napłynęło do Książnicy - by wskazać, że to nieprawda. Trzysta szesnaście szans na to, by dowieść, że zmieniająca się forma czy tematyka wierszy nie musi oznaczać sprzeniewierzenia się którejkolwiek z poetyckiej tradycji, chociaż dialog z nimi bywa niekiedy zaskakujący i przełamuje łatwe literackie stereotypy.

Gdybym miał wskazać klasycznego poetę, do którego nawiązuje laureat I Nagrody w tegorocznym „Liściu Dębu”, bez wahania powiedziałbym: Zbigniew Herbert. Nie chodzi tylko o to, że wyobraźnia narratora jest podobna do wyobraźni Pana Cogito (który, jak pamiętamy, *unosił się rzadko na skrzydłach metafory*) albo o to, że wiersze – nie tylko te nagrodzone, bo poeta ukryty pod nazwiskiem Maciej Rzymiski ma dawno ustawiony głos i ustaloną renomę – można nazwać poezją moralnego niepokoju (ich autor mógłby powtórzyć za Herbertem: *innym zielony dzwon drzewa niebieski dzwon wody ja mam kołatkę (...) uderzam w deskę a ona podpowiada suchy poemat moralisty tak - tak nie - nie*). Jeszcze mocniej uderza podobieństwo intymniejsze, obejmujące poetycki ton, swoiście ironiczny, wyzbyty lirycznej afektacji oraz zainteresowanie religią, której symbole i mity są siłą napędową dużej części tekstów. W znanym wierszu Herberta „Sprawozdanie z rajów” czytamy:

*Na początku miało być inaczej –
światliste kręgi chóry i stopnie abstrakcji
ale nie udało się oddzielić dokładnie
ciała od duszy i przychodziła tutaj
z kroplą sadła nitką mięśni*

natomiast w drugim wierszu z nagrodzonego „Liściem Dębu” zestawu:

*Myślę, że niebo nie leży
w mojej naturze. Są rzeczy o których nie śniło się
Bogu ani eremitom.
(...)*

*Chóry kościelne
przegrywają z boksem. Żużel,
próżność, zawiść, to wszystko
czym się interesujemy? Czy nasze dusze
nie czułyby się oszukane w niebie?*

Obaj poeci dają zaskakująco podobny obraz w puencie, gdzie metafizyczna kpina zmienia się raptem
wszorstką czułość. Herbert widzi, jak

*z fabryk wychodzą niebiescy proletariusze
pod pachą niosąc niezgrabnie swe skrzydła jak skrzypce*

zaś Rzymski zawiesza w powietrzu pytanie

*Ale czy istnieje Eden bez piłki nożnej,
ironii i papierosa?*

Na dobre z nieba na ziemię schodzimy w wierszach zdobywczyni II Nagrody (także nie pierwszy raz obecnej
w gronie laureatów płockiego konkursu). Zmysłowy hołd oddawany w nich zwykłym, codziennym
przeżyciom (Amerykanie mają tu za patrona Franka O'Hare, a my mamy Andrzeja Bursę) i nostalgii za coraz
dalszą młodością (*o smaku sovietsskoje igristoje i wyrobów czekoladopodobnych*) oglądaną w coraz słabszej
rozdzielczości uzupełnia wspomnienie składnicy harcerskiej i wagoników kolejki elektrycznej, które – niczym
fiński nóż u Bursy – autorka między bajki wkłada w taki sposób, by melancholijna iskra udzieliła się każdemu,
kto pamięta lata 70. i 80. Ale zestaw Doroty Ryst nie zostałby oceniony aż tak wysoko, gdyby nie wiersz
ostatni, wykraczający poza osobiste doświadczenie i biorący się za bary z życiem Czesława Miłosza.
Podobnie na serlo, jak brał się z nim za bary Zbigniew Herbert oraz z Ironią na tyle ciemną i gorzką, że mógłby
się pod nim podpisać Maciej Rzymski. Rzadko rozpościerane skrzydła metafory tym razem też pojawiają się
tylko na moment, kiedy w Warszawie trwa powstanie, a tymczasem

*tu w Piastowie na ulicy orzeszkowej
u ryńców jest bezpiecznie. czasem tylko wiatr
przynosi nadpalone kartki. fruwią nad nami jak nietoperze
w złych snach.*

Melancholia na pewno napędzałyby wiersze Włodzimierza Szymborskiej, gdyby nie to, że ich narrator nie zostaje ze swoimi wspomnieniami sam. Ma wnuka i to zmienia postać rzeczy, a na subtelnie rozpisanej rodzinnej relacji opiera się zestaw, który zdobył III Nagrodę. Ujmuje skromność i prostotę tych wierszy, dyskretnie zdyscyplinowanych (regularne zwrotki) i oszczędnie operujących detalem (typu blenda kolejowej lampy). Trudno nie polubić od pierwszego wejrzenia takiego na przykład wersu:

nim zapalka rozpuści swe rude włosy pomyśl życzenie

Protokół jury świadczy o tym, że równie duże wrażenie jak liryczna bezpośredniość potrafi zrobić zaawansowana poetycka robota, bo drugi zestaw z III Nagrodą to przykład nader wyrafinowanej liryki, wykorzystującej tyleż brzmieniowe właściwości języka, co jego postulowaną przez Słowackiego giętkość. Choć tematyka wierszy Anny Piłszewskiej wydaje się pozostawać w oswojonym kręgu rozważań nad upływającym czasem i wietrzącymi wartościami, to kreowane liryczne wizje pozwalają umieścić autorkę pośród poetów – przywołajmy tu określenie ukute przez Mariana Stalę – tzw. ośmielonej wyobraźni. I faktycznie trudno nie pomyśleć o Romanie Honecie i jego akolitach, kiedy czyta się frazy w rodzaju

*zawróciła się miedziana rzeka
w oniryczną stronę – bosi malcy pobiegli
z gwizdem w szorstkich gardłach
przetrzęsać gniazda potrzosów.*

Podobne bogactwo stylów i nawiązań napotykamy u autorów wyróżnionych, jednak przyjemność ich rozpoznawania zostawmy czytelnikom. Zresztą, warto poznawać teksty laureatów XXIII edycji płockiego konkursu nie tylko ze szkiełkiem i okiem, ale także z zuciem i wiarą (nie tyle dostrzegając, co zmysłowo zaznając bogactwa wewnętrznych rymów u Janusza Radwańskiego albo urywanego oddechu precyzyjnie punktowanego przecznicami u Mileny Rytelewskiej). Po to, żeby czytanie wierszy i w ogóle wszystkie nasze (sparafrazujmy na koniec Wisławę Szymborską) dzienne sprawy, nocne sprawy to były mniej sprawy polityczne, doraźne i wykalkulowane, a bardziej sprawy religijne. Czyli – mimo piłki nożnej, ironii i papierosa – zakrojone znacznie szerzej i piękniej.

Maciej Woźniak

KOMUNIKAT
z posiedzenia komisji konkursowej
XXIII edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
Im. Wł. Broniewskiego „O LIŚĆ DĘBU”
z dnia 9 września 2011 r.

Jury XXIII edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Wł. Broniewskiego „O Liść Dębu” w składzie:

- Bohdan Urbankowski – poeta, literat, ZLP OW
- Waldemar Smaszcz – krytyk literacki
- Marek Grala – poeta, SPP OW
- Krzysztof Bieńkowski – prezes SAPO Płock
- Maciej Woźniak – poeta
- Maria Zalewska-Mikulska – dyrektor Książnicy Płockiej

po zapoznaniu się z 316 zestawami wierszy, na posiedzeniu w dniu 9 września 2011 roku, postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia za całe zestawy i wybrane wiersze:

I nagroda – „Liść Dębu”

Maciej Rzymski, godło „SĘK”, z Łodzi, za zestaw wierszy

II nagroda

Dorota Ryst, godło „krzywa elewacja”, z Warszawy, za zestaw wierszy

III nagroda

Anna Piliszewska, godło „ŻAR PTAK”, z Wieliczki, za zestaw wierszy

Włodzimierz Szymczewski, godło „W SŁOJACH CEDRU”, z Świętochłowic, za zestaw wierszy

Nagroda Dyrektora Książnicy Płockiej za wiersze o tematyce miłosnej

Milena Rytelewska, godło „Lerta”, z Płocka

Nagroda za wiersz o tematyce płockiej

Wanda Gołębiowska, godło „Tryptyk” z Płocka, za wiersz „W katedrze płockiej”

Wyróżnienia za wiersz o tematyce plockiej

Mariola Kruszewska, godło „trzynasta trzydzieści”, z Mińska Mazowieckiego, za wiersz „spacerkiem przez plocki park”

Joanna Nowak, godło „Janis”, z Płocka, za wiersz „wesole miasteczko”

Wyróżnienia

Jerzy Fryckowski, godło „RABARBAR”, z Dębnicy Kaszubskiej, za zestaw wierszy

Kamila Pawluś, godło „katarakta”, z Warszawy, za zestaw wierszy

Janusz Radwański, godło „W Ołomuńcu na fiszplacu”, z Kolbuszowej, za zestaw wierszy

Ponadto jury zakwalifikowało do druku pojedyncze wiersze następujących autorów:

Jan Belcik, Magdalena Bialik, Beniamin Maria Bukowski, Dorota Grzesiak, Tadeusz Hutkowski, Piotr Jemioło, Maciej Kottowski, Agnieszka Marek, Alicja Mazan-Mazurkiewicz, Wojciech Roszkowski, Małgorzata Sochoń, Janusz Solarz, Arkadiusz Stosur, Edyta Wysocka

Organizatorzy konkursu i członkowie Jury gratulują laureatom i zapraszają do udziału w kolejnej edycji konkursu.

Płock, dnia 9 września 2011 roku

Maciej Rzymiski

I nagroda

Poszukiwacz skarbu

Oczy moje Cię nie widziały, co najwyżej
na tanich obrazkach z kiczowatymi
promieniami. Smaku swego nam nie objawiasz.
Podobnie zapachu. Uszu
nie zatrudniasz, choć słuch mam absolutny
i mógłbym Cię pochwyć z dużej odległości. We wnyki,
skąd już byłbyś na wyciągnięcie ręki.
Pozostaje nadal słabo wykształcony
I ciągle poddawany w wątpliwość
zmysł wiary.

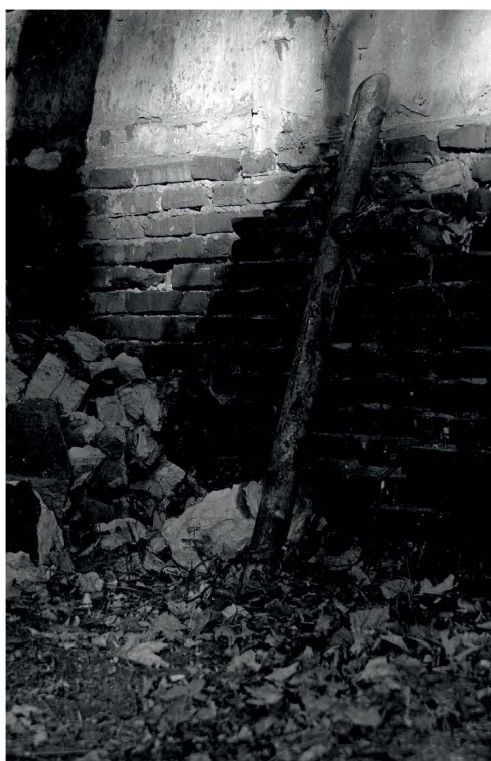
Myślę, że niebo nie leży
w mojej naturze. Są rzeczy, o których nie śniło się
Bogu, ani eremitom. Nie przyszło do głowy,
żeby mając rodziny na wyciągnięcie ręki,
sięgać po cudze. Pokrzywy, kolce akcji, łamać
przykazania boże, śluby i wkładać głowę
między drzwi. Wystarczy zajrzeć,
jak wyglądają serwisy informacyjne.
Kto nie lubi oglądać też? Nudzi nas
transmisja Mszy Świętej z Watykanu,
zamykają się nam oczy. Chóry kościelne
przegrywają z boksem. Żużel,
próżność, zawiść, to wszystko
czym się interesujemy? Czy nasze dusze
nie czułyby się oszukane w niebie?
Większość z nas potrafi sobie wyobrazić Raj
bez książek, opery i mycia zębów.
Ale czy istnieje Eden bez piłki nożnej,
ironii i papierosa?

Drugi list św. Pawła do Tesaloniczan

*Albowiem dochodzą nas słuchy,
że niektórzy pomiędzy wami postępują nieporządnie:
nic nie robią, a zajmują się tylko niepotrzebnymi rzeczami...*
Piszą wiersze, startują w konkursach poetyckich
i trwonią fundusze na uciechy cielesne,
zaniedbując ducha, modlitwę
i rozmieniają objawienie na drobne.
Nie mówię, by od razu straszyć ich ogniem,
ale napominać i oczy ich kierować w inną stronę.
Co by to było, gdyby oddani w niewolę miłości
Pana naszego czytali poezje na rynkach Cesarstwa Rzymskiego,
oddając się Muzom, próżności i wysłuchując pochwał.
Znacie historię z uchem i wielbłądem. Ja Wam mówię:
łatwiej bogatemu wejść do królestwa niebieskiego,
niż poecie, który poczuł liście na głowie.
Powstrzymujcie ich bracia z całych sił od tego miodu,
i wszelkimi sposobami, dla ratowania jednej nieśmiertelności
kosztem drugiej. Duszy, zamiast pieśni.

Uznałem, że moim zadaniem jest dolewanie oliwy do ognia. Wprowadzanie w osłupienie. Budzenie niezdrowych emocji. Miałem nawet zamiar napisać *Wstęp do błędzenia*. Ukryć zakłopotanie, zdusić lęk przed porażką. Pragnę, żeby stawiano mnie za wzór fizyczny nie do naśladowania. W szkołach i młodzieży z dobrych domów. Może nawet żeby się wydawało, że podpisałem cyrograf. Że moim celem jest zwątpienie. Sprowadzenie do parteru. Zasypywanie utartych ścieżek poznania. Szczegółów odrzucenia, niechęci i pukania się w czoło. Za dobrą ocenę mojej pracy przyjąłem wytrzeszcz oczu, grymas bólu, obelgi, nerwowe chrząkanie czytelników. Czułbym się niespełniony gdyby ziewano, przechodzono do porządku dziennego, odkładano moją twórczość na półkę i wypowiadano się bez dostatecznej urazy i zakłopotania. Jak gdybym był skończonym klasykiem. Wiarę w powodzenie kładę na marach, dla osiągnięcia pewności.

Próbowałem obok Boga przechodzić
obojętnie. Jakbym tego nie robił,
doznawałem porażki. Tak na jednej nodze,
jak i idąc chyłkiem. Do zbawienia
droga zawsze wiedzie pod górkę. Sanki,
narty wodne, rolki, wszystko mówi mi, że
prędzej czy później skręcę kark. Na metafizyce.
Dokąd bowiem mogli uciec, gdy uciekali
od oblicza Twego? Potrafisz przykuć.
Mój wzrok natrafia na Ciebie. Choć jedynie
pośrednio. Przez świętego Augustyna
albo wprost, przez przypadek.



Jacek Olszanowski

Dorota Ryst
II nagroda

słaba rozdzielczość

dziś widziałam dom dziadka ale niezbyt wyraźnie.
google maps dla tej okolicy mają słabą rozdzielczość.
to lepiej. mogę myśleć że ktoś tam jeszcze jest. nie tylko jaskółki
budują gniazda. a jabłonie i śliwy nie dziczeją

bezpowrotnie. wielki las dziwnie się skurczył. oglądany
z satelity okazuje się małym zagajnikiem. nie płaczą
wierzby choć widać zarys stawu. stawy coraz częściej
bolą. to całkiem niezły powód żeby tam nie jechać. zostać

w swoich grudniowych snach. w nich ciągle jeszcze płyną
do portów statki z cytrusami. pachną pomarańcze
i pasta do podłogi. a język wciąż zdradza mnie pamięcią
smaku sovietsskoje igristoje i wyrobów czekoladopodobnych.

kana galicyjska

słowa pękają i nic się nie wykluwa. zostają puste
gniazda brudne żdźbła zawrót głowy. lęk wysokości
więc nie będzie lotu tylko dreptanie wokół tego
czego nie ma. wyrąbane lasy zalane łąki. wszechjałowość

starań. zostali tylko ci którzy nie wyjechali. to więcej
niż tautologia. jego zatrzymanie na chwilę pod sklepem
niczego nie zmienia. błoto nie wyschnie. tanie wino
nie zmienia się w *chateau margaux*. nie ma nawet aniołów

zostali tylko stróże.

piosenka budapeszteńska

obce miasta. cudze języki. akcenty rozrzucone
jak plamy u pollocka. pewnie jest w tym jakiś
porządek. *igen nem igen nem* brzmi jak refren
piosenki o zapomnianych dworcach. spiżowi

bohaterowie patrzą na mnie z wyżyn historii.
im udało się przetrwać. ale są tacy zimni.
i te przeciągi. być ze spiżu to gwarancja tylko
na wietrzność. na sądzie ostatecznym pomniki

też staną do raportu. *igen nem igen nem*.
na keleti zegar odmierza czas. taki sam
jak gdzieś Indziej. kwitną głogi i tamaryszki.

róg nowego świata i marszałkowskiej

pamiętasz, na marszałkowskiej była składnica
harcerska. głupio pytam na pewno pamiętasz.
godzinami mogliśmy gapić się na elektryczne kolejki.
miniaturowe lokomotywy i wagony mknęły po szczebelkach

torów po wiaduktach między drzewami. czasami zatrzymywały je
semafony ale nigdy nie stawały na stacjach. najbardziej jednak
czekaliśmy na wypadki. nie znaliśmy jeszcze kazantzakisa
ale wtedy z naszych gardeł wyrывało się *jaka piękna*

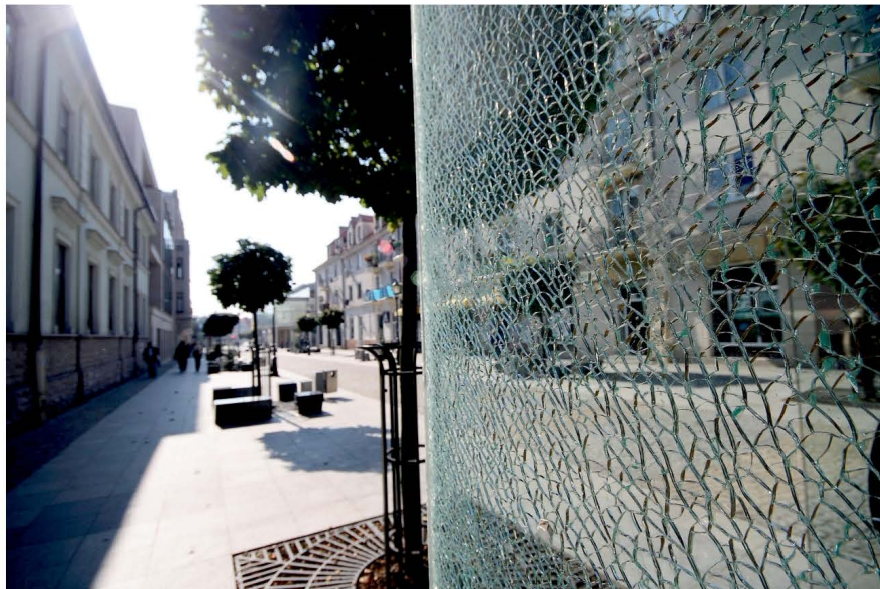
katastrofa! wszystkie dzieciaki skupione wokół wielkiej makiety
przeżywały swoje katharsis. potem nagle wagoniki
zrobiły się za małe. w kieszeniach zaciążyły monety
za które można było kupić bilety do wszędzie – nigdzie
jednak nowy świat już nie był na wyciągnięcie ręki.

czesław miłosz w piastowie myśli o powstaniu

siedemnasta. pora obiadu. na miśnieńskiej porcelanie
nawet okupacyjna cienka zupa smakuje lepiej. byle tylko
nie spojrzeć w okno nie zobaczyć luny. płonie miasto. nie moje
miasto. walczy. czemu miałbym tam być. nie chcę

umierać. tu w piastowie na ulicy orzeszkowej
u ryńców jest bezpiecznie. czasem tylko wiatr
przynosi nadpalone kartki. fruwały nad nami jak nietoperze
w złych snach. kiedyś to minie. obudzi mnie głos *Nie martw się,*

wszystko odbyło się tak, jak być musiało, zrobieś,
co tobie było wyznaczone i nie musisz już myśleć
o rzeczach dawnych. rozgrzeszy i z tego. siedemnasta. już pora
obiadu. Niczego mi proszę pana tak nie żal jak porcelany.



Tomasz Bombala

Anna Piliszewska
III nagroda

Subiunctivus

zawróciła się miedziana rzeka
w oniryczną stronę – bosy malcy pobiegli
z gwizdem w szorstkich gardłach
strząsać gniazda potrzosów.

ich bracia wypalali suche trawy na stokach;
marzyli o tytoniu i o nagich infantkach –
nie czytali Dantego, jednak sprytnie odgadli wszystkie
kręgi piekła. dym dryfował spiralnie. sen
jak czarna purchawka. grzmiało, chrzęściły łachy
w zakurzonych pudłach, materace z sitowia.

a siostry malowały białą, pergaminową
skórę, już wystawioną na liźnięcia gorąca. rosła
rana i z uda jad skapywał zielono. w nocie lepkie jak białko
jaj strąconych procami
coś stukalo skrzydłami, dziobami potrzosów :

ptacy,

ptacy to? ,

ptacy...?

Plusquamperfectum

dym się czołgał jak psisko wkróś kudłatych ugorów;
jego język dotykał szop i omszałej studni – nie tej
z Zegadłowicza. tutaj piekleś kartofle
skradzione z przyległych pól, i karpiele, i wróble – pytany
wzruszyłeś tylko rosochatą drabiną chudych, białych
łopatek, opadało ci serce.

śmierdziało od baraków skisłym potem i gumą – ktoś
podpalał opony i ktoś wył wniebogłosem,
kiedy pławiliś w rzece podręczniki do szkoły, matka
biła się z ojcem: fruwał pylisty kurz. jaskry w trawie i mleczne
fermentacje, trzepoty... gniły jabłka
pod kleksem zmurszałej stodoły. uciekałeś

od świata i w piwnicznym kurniku studiowałeś alchemię
własnych żył oraz bytów coraz bardziej
osobnych. i pamiętasz – kupiła ci kwaśne ogórki
w sklepie *Spółem* dziewczynka z biczami
warkoczy .

potem wszystko odbiegło – baraki zarosły rdzą. zdechły
wieprze i koty. tamci obcy umarli – czasem tylko się przemkną
chitynowi – stonogą. sklezione
głosy. powój. polami idzie chłód. dym się czołga jak psisko
wskroś kudłatych ugorów...

Imperfectum

to nie derwisze idą z kołatką różańca,
wystawiając dla wiatru pomarszczone drżenia
ciał o miążskiej fakturze rdzawego popiołu;
nie falują jak trzcina –
to tylko skaczące cienie, cienie w halce powietrza.

kulawa wędrówka światła – ogromnieją
konary i węzłaste korzenie wyrodzonych dereni.
młyny, żurawie, drewnutnie – relikty przeszłości, skrzypią
i zarastają
żywym złotem żarnowca.

tylko rzeka ta sama – zsiniała od szlochu,
bosi chłopcy majstrują druciany wiatraczek,
malwy niby madonny w rubinowych chustach,
rozwiane grzywy chmur...

jest więc czas ocalony? bodiaki wstały z martwych
rowów, pastwisk, ugorów? droga snu
wyrzezana tępym, drewnianym nożem, co nie stanie się
mleczną?

Praesens

*Ile śmierć ma szuflad! – W pierwszej
Składa sobie moje wiersze.
R. Wójcicki, „Pewna komoda”*

błyskają światłem
próchna, spięte konopowym włosem, a sylaby
chichoczą i stąpają na szczudłach – dzieje się
akt za aktem – Teatr
Śmierci i Snu.

polemika z kornikiem wypadła nieskładnie – coś ożyło
i pękło jak potówki orzecha. coś śmignęło:
wiewiórka albo z gazy sukienka, pejcz
cudzego warkocza.

w krzyż złożone dwa skrzydła – mała pompa funebris.
tej, która była
drzewem, a dziś zwie się komodą, powierzam
ptasi tren.

pod krzywym gankiem nagie,
łyse pisklą gołębia, dzisiaj wypadłe z gniazda,
sinym wierszem
oddycha.

parabola o morzu

oswajali je –
szumem wabiło światło, kołysało je w sobie,
w kobaltowych zmarszczeniach.
woda opowiadała rybę, obcy, nieznany brzeg – śnili
zamglone dale, mroczne groty z bursztynu, wiatr
co iska warkocze. ich wypłowiałe oczy miały barwę
kamienia.

wierzyli, że oswojone,
a ono się wydymało gniewnym bałwanem, lizało
żółte kości w perfidnej pieszczocie. przesypywał się piasek
w podwodnych klepsydrach: głuchy
chichot Kosmosu.

kołysał się horyzont, maszty – axis mundi
drapały taflę nieba.
kobiety szeptały w ciemność.

wierzyli, że oswojone,
gdy opadali w wieczność, w źrenicach
unosili odcienie turkusów, gnozę, psalm niespełnienia.
ich ręce – skrzyżowane linie diagonalne
wyjedzone przez wodę,
sen łagodnie zamyka.



Marek Konarski

Włodzimierz Szymczewski

III nagroda

odpowiem później, teraz opowiemy mu o łabędziach

oglądamy zdjęcia wnuka. pytasz
czy wciąż cię kocham, czy nadal
jesteś atrakcyjna dla mnie

a ja ukradkiem cię dotykam
upewniam się, że jesteś
prawdziwa

pamiętam jego cierpki smak

pociąg do Zbąszynka – siedemnasta dwanaście mówiłeś
bez spoglądania na zegarek. mam go do dzisiaj,
nafosforyzowane wskazówki pokazują tę samą godzinę

już dawno odprawileś swój ostatni skład. teraz nikt
nie pisze raportów kopiaowym ołówkiem, nie poleruje
kredą blendy karbidowej lampy

kiedyś zaprowadzę twego prawnuka na dworzec
pokażę jak prawidłowo naostrzyć ołówek. będzie
wiedział – wszystko zaczyna się od kaligrafii

co mówią połówki fotografie

już niedługo zabiorę cię w podróż, kroki będziemy
stawiać powoli. z każdego miejsca musisz znać
drogę powrotną, wiedzieć gdzie bezpiecznie
zatrzymać się na nocleg

wiem, będziesz miał wiele pytań. czy zdołam
wy tłumaczyć, dlaczego nagrobki są tak ważne,
co oznacza słowo Kocham; nakreślę znak krzyża
na chlebie – od tego zaczniemy

w spiżarni będzie rzeszoto

nie wiem, czego będą cię uczyć w szkole; czy białe
będzie jeszcze białe, a czerwone nadal czerwone
zobacz "Czterech pancernych" i oglądaj "Katyń"
pojedź do Oświęcimia, potem porozmawiaj z Klio

zostawiam ci klucz pod wycieraczką. do tego
domu musisz wejść sam. na stole będzie chleb i sól
jeśli zdecydujesz powiesić kapelusz, wybielić ściany
zachowaj skrytkę. kiedyś też będziesz miał wnuka

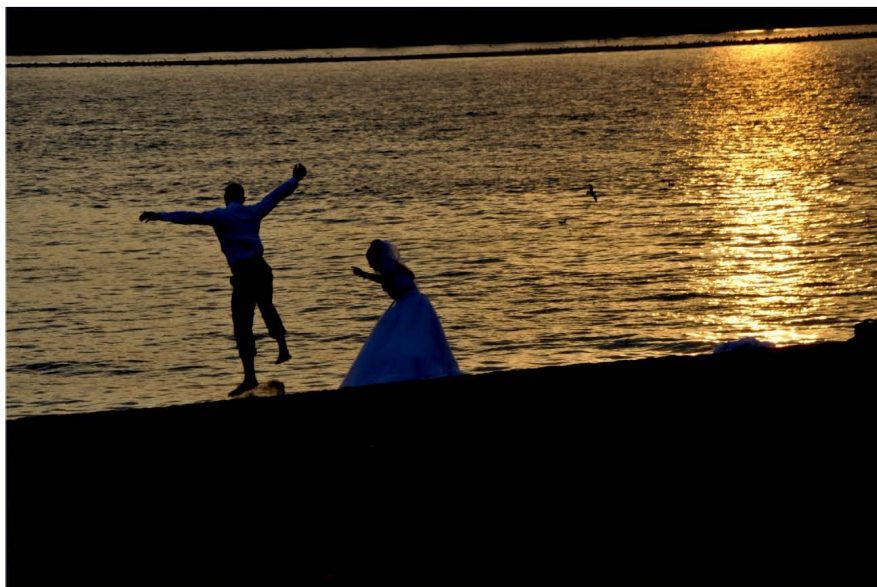
nim podaruję ci scyzoryk

nauczę cię jak robi się ognisko; pierwsza zasada –
nim zapalka rozpuści swe rude włosy pomyśl życzenie

potem pozwól niech rozgadają się bierwiona, słuchaj
uważnie, co plotą iskry w pozornie beztroskiej zabawie

przyglądaj się bacznie jak z niskiego pokłonu tuż przy ziemi
wstaje unosząc wysoko głowę; nie patrząc mu w oczy wypowiedz

na głos to, o czym wcześniej pomyślałeś; gdy znowu pokłoni się
ziemi, sprawdź czy skórka ziemniaków jest spękana – to druga zasada



Krystyna Falkowska

Milena Rytelewska
Nagroda Dyrektora Książnicy Płockiej
za wiersze o tematyce miłosnej

erotyk I

/ wiersz nawiązuje do obrazu
„Jesienne drzewo na wietrze”
Egona Schiele/

rozpoznaję cię
w drzewie. o gałęziach wrośniętych w chłodną
ziemię i liściach przezroczystych, haftowanych
siatką arterii; tak cienkich, jakby wyżłobionych
skalpelem. drążą cię cienie, ślady
po śladach, ale zблиżniasz się,
obrastasz w strupy. gdy
przytulam ucho do szorstkiego
policzka, słyszę, że krzyczysz,
pękasz, otwierasz się
nocą. na
Noc.

erotyk II. biały na białym

*"(...) to nie był pusty kwadrat
a poczucie bezprzedmiotowości".
Kazimierz Malewicz*

Prościej jest
milczeć. Uwolnić się
od siebie, *dyktatury pępka*. Unosić się
wśród czystej, niezmaczonej przestrzeni.
Z białego
w białe wejść. Z niczego
w nic. W białym się ukryć
i o nic skaleczyć. Dyskretnie, bezgłośnie, białą
na bieli się wykrwawiać, zamilczać, zabielać
się na biel, na
śmierć.

erotyk III. rzeźnia

*„(...) ludzie patrzący na moje obrazy
doznają uczucia kontaktu ze śmiercią”.
Francis Bacon*

a kiedy będziesz
spadać, pamiętaj, by
nie zostawić śladów paznokci
na płótnie. jakbyś chciał się zemścić
albo zatrzymać, albo zawrócić i poczekać
na inną śmierć. wykrwawiaj się
szybko. krzycz cicho. oddychaj płytko. tnij
pewnie. bo każda
strużka krwi, kreśli trajektorię twojego
upadku. i ma zapach lęku, którym
się karmię.

erotyk IV. krajobraz zimowy

*/na podst. min. obrazów E. Dwurnika
i E. Hoppera i J. Lebensteina/*

Najbardziej boję się
dnia. W jaskrawym świetle, cienie
stają się dłuższe, a ludzie smakują się
przez szyby i zlewają w masę szemrzących
pikseli: Te miasta
są jak otwarta dłoń, z mapą papilarnych,
ślepych zaułków, żelbetonowych skorup
i bezdomnych zigguratów. Te miasta,
te kobaltowe dzwonki, precyzyjnie
zepsute zegarki. Cmentarze
osiowych figur, szkieletów
salamandry. Wykastrowane
z słów, zredukowane
do gestów i płaskich, białych
fasad. I tylko
nocą - Ty. Tu. W ciepłym
sfumato. Na odległość
dotyku

erotyk VI. portret dziewczyny z jaszczurką

*"(...) i ta pokraczność, pokraczność tej duszy".
Jan Lebenstein*

jaszczurko, strażniczo cienia, ja też mam
prawo do snu. dlatego wciąż przymierzam

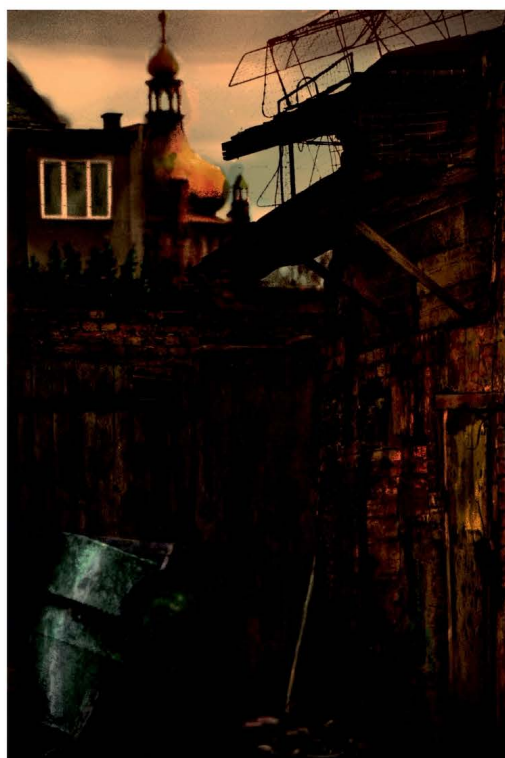
nowe krzyże i moszczę się w szkarłatnym
atłasie. jaszczurko, oni wciąż świecą

mi w oczy. skamlą, całują, namaszczają
stopy. rozbierają się

z grzechów, zrzucają je jak skórę.

jaszczurko, czarodziejko z korzeniem
mandragory: to chyba wielka rzecz znaczyć

dla kogoś wszystko?



Jan Drzewicki

Wanda Gołębiewska
Nagroda za wiersz o tematyce plockiej

W plockiej katedrze

W nieprawdopodobnie upalny dzień zamieszkałam
w plockiej katedrze. Tam jest najchłodniej – powiedział
zdegustowany światem, ludźmi i sobą stary przybłęda Jan,
który codziennie wieczorem siada na barierce
podświetlanego od Wisły mostu.

Ja wolę katedrę. Wieczorem jest tam cicho,
nie ma żadnych nabożeństw (majowych, czerwcowych),
bo się księdzu nie opłaca przychodzić – za mało ludzi,
starzy ludzie boją się ciemności, wolą siedzieć
w domu przed telewizorem.

Sama siedzę w katedrze.

Milcząc przed Najświętszym Sakramentem wypatruję
Chrystusa i w końcu mówię –

przyszłam Chryste do Ciebie, jesteś taki samotny
pragnę rozprościć Twą samotność, ukoić Twój ból,
zaleczyć rany, nałożyć na Twoje czoło, ręce, stopy
chłodne liście mięty.

Jutro będę bezdomna. Tu, z plockiej katedry
nikt mnie nie przegoni.

Ty – Chryste – na pewno nie!

Wierz mi, że nigdzie w moim kraju
nie da się żyć. Nigdzie – gdy jesteś biedakiem!
Tylko tu, w płockiej katedrze da się jeszcze
żyć, choć wieczorami nie rozbrzmiewa w niej
Litania Loretańska.
Tymczasem stary przybłąda Jan siada na barierce
mostu i nie wie -
skoczyć czy pofrunąć?

Płock, 15 maja 2011r.

Mariola Kruszevska

Wyróżnienie za wiersz o tematyce płockiej

spacerkiem przez płocki park

Salomea przychodziła tu rzadko
dziadek ją ciągnął za rude warkocze
niby dla zabawy
wkladał włochatą rękę pod spódnice

kładzie kamień bo tata
szanuje tatę

z Jaffy to rzut wspomnieniem dziurawym
niczym pończochy pamiętające
połamane paznokcie brudne
jak mieszek z którego potem wysuływał miedziaka

kładzie kamień bo babcia
szanuje babcię

macewa ze szczegółami jego życia
utwardziła jedną z ulic po której toczy się
życie codzienne niepamiętające umarłych

kładzie kamień przy krawężniku
alejkami spacerują zakochani
planują

Joanna Nowak

Wyróżnienie za wiersz o tematyce płockiej

wesołe miasteczko

chodzę o kulach. niebo nade mną definitywnie jest świadkiem co
zaszło dziewiątego czerwca krótko po godzinie dwunastej. może
nawet oberwało się tamtym huśtawkom.
wysiadam na skrzyżowaniu anorektycznych blokowisk; przebiegam przez
pasy na niebieskim świetle. mijam wesołe miasteczko, które dopiero
się buduje. mijam szkołę, mijam ludzi. mijam siebie i samobójstwo jakiegoś
chłopaka, który właśnie wpada pod rozpędzoną ciężarówkę. ulica sportowa
to nie tylko kilka samochodów i szybkie dojście do otolińskiej. to także
cmentarz. dzisiaj szukam na nim zakrwawionych chusteczek, potłuczonego szkła.
szukam tam obrazów, w których zachłysnęłam się swoim ciałem. stadion dzielą
tylko kraty. nie wiem, może jakieś dzieci na placu zabaw to widziały. nie wiem,
może ta czerwona zjeżdżalnia właśnie wtedy przeżyła największą traumę swojego
życia.

ach, wesołe miasteczka, porostawiane po całym płocku. zabierzecie mnie ze
sobą.

obiecuję, utopię się w wirujących filiżankach.

właśnie udowodniłam, że się boję. skaleczyłam się krwią chłopaka, który
sam zadźgał się nożem. tępym. z nieba pada styropian, a w śmietnikach
leżą ludzie. chyba zapadli w hibernację dwudziestego pierwszego wieku.
chyba się upili naćpaną rzeczywistością. masakra piłą mechaniczną,
on zjadł sobie moje serce. popił je ignorancją. i teraz wiem, że

ignorancja jest moim jedynym przyjacielem.
jestem wyschniętą na wiór padliną. mój ukochany płock pachnie
petrochemią. mój ulubiony człowiek pachnie wesołym miasteczkiem.
proszę, niech już zlecą się te hieny.



Grzegorz Gętka

Jerzy Fryckowski
Wyróżnienie

KRÓLEWSKA UCZTA

Real dzień po Bożym Ciele
na transporterze sześć najtańszych bochenków chleba
kostka smalcu i puszka podróbki pilsnera
w sumie osiem osiemdziesiąt siedem
mniej niż paczka fajek
zaraz wróci do getta
nikt do niego nie zadzwoni
żaden operator nie zaproponuje samochodu
żadna wróżka pomyślnej przyszłości za 4.20 plus vat
może nawet będą zamykać przed nim drzwi i okna
by nie przynosił pecha którym karmi rodzinę od trzydziestu lat

Samym napięciem żył otworzył puszkę
i będzie się delectował odrobiną piany przez pierwszą połowę meczu
tak jak w dzieciństwie potrafił zjeść trzy kromki suchego chleba
odsuwając od ust jeden plasterzek kiełbasy żywieckiej do ostatniej skórki i kęsa
zdenewrowany przedłużającą się przerwą zaczerpnie pierwszy łyk
i nie poczuje że pije piwo w temperaturze pokojowej

Jak dawniej poczuje się mężczyzną
Czechem lub Belgiem z największym spożyciem piwa
nim zaciśnięta pięść zrośnie się ze zgniecioną puszką
spojrzy jeszcze na obwisłe piersi żony pogłodzi czupryny dzieci
i podziękuje Bogu za nocną zmianę

MOKRA

Ma twarz dziewczyny zdyszaną biegiem w deszczu
wilgotny nos psa i wierność przy nodze gdy odrzucam smycz
w lutowy mróz kiedy zamarzają przystanki a autobusy pachną benzyną
połyskuje mufką której zawsze o jedną dłoń za mało
jest Rękawiczką osobną na każdy palec naśliniony zdjęty nagle ze spustu
Rozchyła usta jak ryba i milczy by nie zbudzić tych wszystkich za ścianą
Każdej nocy rozcinana sztyletem księżycą gotowa oddać krew
Wiesza się rozpaczliwie śmierdzących papierosami hotelowych zasłon
I zapamiętuje na zawsze przebiegłość każdego palca z osobna
Całowana i pocierana językiem zamienia się w księżniczkę z perskich baśni
Którym tysiąc nocy mija w pociągu dalekobieżnym nad morze
Czasem zostaje w palcach marokańską figą Jest słodka i najzwyczajniej się lepi
Rośnie w ustach nie można się jej pozbyć Nie można się pozbyć myśli o niej
Można co godzinę chodzić pod prysznic potem wycierać się do bólu skóry
Otrząsać chodzić na terapię akupunkturę kurs spadochronowy
Ale nawet tam bliżej nieba palce ukrywają jej zapach w rękawiczkach

I myślą ją z zawleczką

NASZE MATKI PŁOSZĄ SMIECHEM WIEWIÓRKI

Widziałem jak nasze matki
Zamieniały tabletki przeciwgruźlicze
w orzechy laskowe i nikt nie uznał tego za cud
gdy dzieliliśmy się nimi z parkowymi wiewiórkami
Mieliliśmy zwyczaj przyjeżdżać bez zapowiedzi
Choć nie ballśmy się strajku kolejarzy
Bo słowo to było im obce tak samo jak owoc kiwi
Tylko matki z żołądkiem zaciśniętym jak pięść żałowały
Że wyrzuciły szynkę kotom a my będziemy ją znali tylko z zapowiedzianych wizyt
Finałem wszystkich opowieści było czesanie siwych włosów matek
Póki na pętli nie zaczął wyć klakson
ostatniego autobusu podmiejskiego w dzień świąteczny
W tygodniu wracaliśmy do prób naszych pierwszych spowiedzi
Przyznawaliśmy się do oddania orzechów wiewiórkom
Ale Pan Bóg tego chyba nie rozumiał

DWA KSIĘŻYCE

Wszystko jest na wyciągnięcie ręki krzyk światła i kosmos
Pielęgnowę twój lewy profil i dmucham na zimne
Zegary o zamszowych wskazówkach coraz ciszej
Pościel zamienia się w chmury na plecach dreszcz
Optymistyczne prognozy każą odpocząć grzejnikom
Zapinamy powieki jak pałto już tylko wyobrażenie
Japoński teatr cieni na brudnej ścianie
Prześcieradło daje się gnieść w kulkę gazety
Skóra stawia opór robi się gęsia i rośnie włosom
Póki kolana na oścież nie pokażą fioletu neonu
Dwa księżyce na odległość śliny i języka
Wydepilowane słońce gaśnie pod sukienką
Złożoną po żołniersku w kostkę
na hotelowym taborecie

JESTEM TWOIM NAŁOGIEM

H.D.

Ledwie się budzisz sięgasz po mnie
i znajdujesz w zmiętej paczce goldenów
kiedy szczypię w koniuszek języka wiesz że jestem
że ta wczorajsza dycha na fajki nie została zmarnowana

Zaraz w łazience zmyjesz z siebie nasze wszelkie nadzieje na własne potomstwo
nasmarujesz kremem i zagubisz w babskich pismach
dających nadzieję na in vitro

Jak za kwadrans nie zadzwonię
uderzysz czołem o szkło barku jak o wieku trumny
niechcący przewrócisz butelkę i na blacie
wykonasz moją karykaturę w ayerkoniaku

skulisz się w kącie zgasisz niedopałek o wykładzinę
i pójdiesz zwymiotować

jeszcze przyjdzie ci do głowy by wykorzystać sznur od żelazka
gorący wczorajszym prasowaniem naszych pomiętych wspomnień z Chorwacji

Kamila Pawluś
Wyróżnienie

sadzyk na żywca

jeżeli uporczywie nie wchodzisz
do siebie, to co ci jest? nie przecieraj
rajstop, nie kalecz spodni, nie siedź tak
tu. pod płachtą za szopą, w milczeniu
na ławce, rejterując z kościoła
do opuszczonej łodzi. po co ci ta łódź?
po co ci to ciemno, dziecko?

nasłuch. drwina klamki. tu
wszyscy są szczęśliwi usiądź
z nami dziecko złóż ręce na stół.

spółgłoski

czubkiem języka kreśli miękkie jak krajobraz lub enter
i twarde jak nawierzchnia, prawo lub reneta;
wymawia otwarte, jak morze albo pytanie
i zamknięte jak niektóre miasta, powietrzne przestrzenie

i sklep naprzeciwko. dopiero co uchyliła puszkę krtani,
lecz teraz śmiało wydobywa te, co są jak wybuch
wulkanu i tamte ciasne, zwarte, niespokojne.
sprawdza na własnych i na cudzych ustach:

szybują w ciepłym strumieniu powietrza. więc mówi,
a nad jej głową dygoczą płomyki spółgłosek,

kiedy powoli stroi sopran i pończochy. milczący
bracia analizy naciągają rzeźne fartuchy.

królowa

konkwistadorze próżnych umysłów, władco potworów,
jesteś mi bliższy niż koszula ciała. odkąd pierwszy raz
ujrzałam twoją epifanię w rzędach mężczyzn wchodzących
do sushi baru, wyśpiewujących imiona wiodących
funduszy inwestycyjnych i zobaczyłam siebie na kazalnicy
ruchomych schodów, wiedzioną przez ich miękkie buty,
ze szwów zrobione pęta, pojęłam że bogu są miłe
formy, które ślizgają się po powierzchni. jest wiele pionów
i skoczków, błaznów i laufrów na tych obsranych marmurem
korytarzach; ciągną do ciebie jak do świeżego mięsa. ale tylko ja
chodzę jak chcę zmiatając wszystkich nożykową sukienką.

ułożona i doprana

śniło mi się życie cudze, w którym uporczywie
grałam na zwłokę – przy odrobinie wysiłku dawało się je nawlec,
kredką pociągałam kontury, wystawiałam sondę ust.
układałam się w kostkę, dopierałam się w kostkę. coś wzbierało,
gęstniało, alchemiczne procesy życia przeciwko życiu. miernicy
tętna i czasu, komornicy zaległych spraw stawali nad mną:
przepraw się przez siebie, przepraw swoje oczy, inaczej nie zostaniesz
powiększona, nie zostaniesz sprostowana, ramiona ci nie wyrosną,
usta wyschną, serce zostanie rozbite, dzielnice przepoczwargowane.
śniło mi się życie cudze, w którym kwerendowałam w segregatorach
z żalobą kawy na języku.

przekład

razem z deszczem rozpruła się chmura kartek. siedzę do rana
nad translacją twojego ciała; tłumaczę ręce na szyję, plecy na ręce.
od tamtej zimy, gdy zostaliśmy odbezpieczeni, nie ustaję w przekładzie:
księżycę pośladków tłumaczę na piersi, a pionową bliznę poniżej pępka
na trzy małe nacięcia na mapie mojego brzucha. los dymi ostro, zwitek banknotów
ładnie się popieli. żarliwi jak sam prorok zmawiamy ostatnią taksówkę.
stroją coraz wyżej palce nad kolanem, ciśnięta w oko kokaina wiersza.
na wieczne kiedy niewiadomo kochanki lektur w skórzanych sukienkach.

Janusz Radwański
Wyróżnienie

Słownik domyślny

W coraz więcej słów których potrzebuję word mi nie wierzy.
Niwa modrego lnu staje się nowa, świeci na czerwono teorban,
na pulpicie więcej ikon niż na Carskich Wrotach, w korbówód
zmienia się korbowa lira, za radą spinacza, który się przymila
do mnie jak pies-kurdupel, co zaraz ugryzie. A telefon,
póki mnie nie spotkał, nie znał nawet słowa „kurwa”, słownik
mu się zacinał. Jeszcze na mnie i na lirze się wygina miarka
przebrana nie do poznania. Zdążyłem urwać dla siebie parę
lat robienia błędów, ale idzie zamiana. Będę miły jak muzyka
w sklepach, czuły jak czujnik ruchu. Na razie słucham mojej własnej
listy przebojów. Pan Benesz lepiej niż tydzień temu, wciąż na swoim miejscu,
wciąż zatrzymany w momencie, gdy opowiada o przejściu skodą setką
wezbranego Wiśłoka. Tuż za nim Szejna leżący na sali z rakiem oka
i Bogiem bliższym nawet niż teraz, gdy powoli się wyżarza na rzeką
z dziećmi i wnukami wokół. Dalej Śliwka topiący w potoku trzy traktory,
jednego po drugim. Pasek odtwarzania jest bardzo długi, zatrzyma się suwak, mały koniec
świata. Gdy napiszę *placz*, word podpowie *plakat*.

**Jello Biafra spotyka Magdę Umer, wycina jej numer
i odjeżdża w stronę zachodzącego słońca.**

Tak to właśnie widzę: głaszczemy włosy
naszych kobiet do snu, zbierają się iskry,
potem pioruny i tak po prostu trafiają, gdzie trzeba.
Niemarnowanie chleba jest trudniejsze niż jego rozmnożenie.
Łatwiej zamienić wodę w wino niż przenieść miłość
przez rzeki z niedokręconych kranów, góry niewyniesionych śmieci.
Zatem gram wyłącznie na flecie, tylko gdy nikt nie słyszy
i to jest mój sprzeciw. Nie stać mnie na pankowe ciuchy.
Gdy ciemnieją kontrolki na piecach, a ostatni gasi światło,
dopiero wtedy słucham. Kołysanki są muzyką buntu.
Kilka punktów na niebie łączy mi się w zapis nutowy
nowego, lepszego hymnu. Będziesz szeptać go,
jak to hymny, nadaremno. Jeszcze nic nie zginęło
póki żyjemy coraz delikatniej. Czego obca przemoc
nie wzięła, dorzucimy bezpłatnie.

Krzyżaki

Jest i taka wersja tej historii, w której Jezua zostaje kapelanem Legii Fulminata. I to jest ta wersja, która mija się z prawdą o ćwierć włosa. Przeciwdziecięce są układy symboli z tym, w co celują, gdy nikt nie widzi.

Włec skupiamy się na tym, co pod ręką. Patrzymy, jak idzie powoli pajęczycy krzyżak wielka jak mirabelka do trzmiela. Tak, drogie dzieci, tak się umiera w tym bardzo nie naszym, owadnim świecie. A wiecie, że jad krzyżaka rozpuszcza ofiarę od środka? Gdy trzmiel przestanie się szarpać, jego też to spotka, na razie pajęczycy boi się maleńkiego żądła. Tak, dzieci, tak to wygląda: daremna szarpanina, a jednak zezują rozbieżnie oka sieci i ugina się promień światłości, co już zaczynała świecić. Cudzik na miarę trzmiela i potrzeby dzieci, kawałek patyka drze sieć i włochate ciało rozkleja skrzydełka. Pająka wynoszę we wierzbę. Wiara małych jest zbyt wielka, żeby nie pękła pod naporem walczącego o życie motyla czy pszczoły.

Ja widzę, jak na goły garb wzgórza wjeżdża fala arabskiej konnicy, słyszę jak setnik pokrzykuje, liczy jeźdźców. Widzę, jak kapelan podchodzi do stojącej kłody, podnosi kropidło, drewno pije wodę.

Chałwa zwyciężonym

Chałwa zwyciężonym, lizaki ostatnim. Po koncercie
zespołu pięści i tańca schodzimy do szatni,
zdejmujemy z haczyków wymęczone ciała.
Jeśli wstydzisz się jego drżenia, to znaczy,
że działa wokół ciebie kancelaria rzeszy
spraw nieistotnych, królestwa tego świata.
Kulawy kruczek siedzi, sumiennie płata
figle na plastry, na miazgę ściera żarty.
Bierze się serio jak wodę w płuca
to, co niewarte rybiego śpiewu, własne wygrane.
Powiedz, z czym przegrywasz, a tym cię zmierzę.
Tyle twojego, ile za dobrą monetę bierzesz
bez pytania o cenę. Im mniej ciebie,
tym trudniejszym jesteś celem.
Dzieci, drobne ptaki, kruchy sojusz bratni.
Chałwa zwyciężonym, lizaki ostatnim.

W obronie własnej

To jest taki sprawdzian, trzeba odhaczać
dobre odpowiedzi, żeby dostać właściwą ocenę: swój, swój.
A ja jestem po stronie paluszków, które sięgają po klocek
i każdy mniej więcej wie, co robić. Tyle radości
z łapaniem i puszczaniem i tyle możliwości i jeszcze
wszystkie są dobre. A mnie badają jeżozwierze,
opcje są zawsze dwie: tak, tak jest albo nie, nigdy w życiu.
Bo ty jesteś taki letni jesteś. Zjeż się lub my cię zjemy.
Lub, zjeż się, zjesz się. Bo też i trzymam
stronę lata, badania właściwości gleb za pomocą dziecka.
To jest gleba pochyła do turlania, to jest gleba płaska do biegania,
zauważ, żadna nie jest ojczysta do umierania.
Na czym stanęło? To jest górką do turlania. Z tego miejsca ślubuję:
nigdy nie odmierzać wagi krwi ani łez, nie stawiać pytańników,
które mają przebić policzek i wyciągnąć na powierzchnię,
pamiętać, że w każdym sondażu kilku mówi „nie wiem” i to oni
mają rację. Po ich stronie jestem.

Jan Belcik

Jeszcze jedna historia

Widziałam wycofując się
austriacką armię
gdy w rozgardiaszu zamglonego poranka
bez szwanku ominęła mnie

Spotykałam się z kobietami ze wsi
na wieczornych majówkach
tonąc w kwiatach
zbożach i epidemiach

Chroniłam w swym cieniu
spóźnionych pielgrzymów
i przypadkowych pijaczków

Odprowadzałam dziewczęta
na zabawy i wesela

W czasie drugiej wojny
zostałam zraniona bolszewicką katuszą

Wieś została spalona
i obrosła głuchą puszcza

Nie upomniął się o mnie
żaden ZBOWiD

Wiosną uwito we mnie gniazdo
i poczęłam piskłęta

Latem pochyliłam się
wraz z osuwiskiem między

Nie wiem czy doczekam jesieni

lipiec 2011r.

Magdalena Bialik

Pokój numer 17

Pokój numer 17
jest domem staruszki.

Odwiedzam ją
raz w tygodniu.

Opowiada mi o Bogu
który nie istnieje,
bo gdyby istniał
pozwoliłby jej umrzeć
jeszcze dziś.

Wczoraj pomyliła mnie
ze swoją wnuczką,
która też nie istnieje,
bo gdyby istniała
nie musiałabym udawać
że to ja nią jestem.

Dziś rano staruszka
poprosiła mnie
żebym uczesała jej włosy.

Powiedziała, że chciała sama uczesać
lecz włosy nie chcą jej słuchać.

Wiesz dziecko – mówiła
kiedy umrę moje włosy i paznokcie
będą rosły nadal jakby nie rozumiejąc
że to jest już koniec...

... Tak naprawdę
dawno już nie żyję...
To tylko tabletki i zastrzyki
chcą bym udawała żywą...

Wieczorem
gdy kończy mi się dyżur
modlimy się razem do Boga
który nie istnieje
ja – o nowy dzień
a ona – o śmierć.
Która istnieje tak bardzo...

Beniamin Maria Bukowski

Amerykańskie wydanie Biblii

Biorę do ręki Pismo drukowane
Dwa tysiąclecia po fakcie, po drugiej stronie oceanu,
Obcą czcionką, językiem obcym, obcym ludziom, temu samemu Panu,
Który im Lordem, jak moim przodkom Hetmanem
Sławiony był na równi.

Tak daleki jest od europejskiego Boga
W swym anglosaskim brzmieniu, bez balastu
Naïwnej chłopskiej wiary, schizm i herezjarchów,
Że obca jest Mu mojego kraju trwoga.

I nie wiem, czy tam, gdzie trudny święty Tomasz
Leży na półce – na półce leży Tomasz święty –
(za pięć dolarów, dwadzieścia dwa centy)
Nie byłoby prościej rzec: „Tego nie masz”,
Scholastycznej mądrości wśród szumu autostrad.

Zgaduję jak daleki jest tam barok, wzory
Te same pod innym światłem wspólnego nam słońca:
Ta sama cukierkowa Matka Boska, pachnąca
Innymi kwiatami w maju. Bycie skorym
Do tłumaczenia zbyt łatwo słowa „katolicki”

Rozbija mi się teraz o różnicę wspomnień
Nie będących udziałem mojego pokolenia.
Tu krew Albigensów, tam serce wydzierane dżungli
Musi trwać stale, nie dając prostego odkupienia.

Dawne Europy pod skórą, dawne Ameryki,
Takie same, choć inne chusty Weroniki
I to samo, choć inne ocieranie twarzy.

Dorota Grzesiak

Schumann, Gogh i kto tam jeszcze.

I.

Która z was połknęła słońce, krzyczy Kryśka,
jest tylko szarość i szarość, a słońca brak.
Nikt się nie przyznaje, nikt nie chce być w szpitalu
dłużej niż trzeba. Kto ma pozwolenie, może
wyjść. Dziewczyny szykują się do klubu.

Lakier jest źle wychowany – pluje
im na włosy. Umbria skaleczyła rękę,
nie zdążyli zebrać odłamków zbitego kubka
zanim je dopadła, Umbria zdążyła jeszcze udo
i już ją trzymają, i ten kaftan w miśki

Tadeusz Hutkowski

Gorący asfalt i dzwony

Rudy miał dziś sztych otwarcia
pierwszy trącił ciało martwego świtu
budząc miejsce gdzie ludzie
przynoszą kamieniom kwiaty

upał nadchodzi szybko
szturchają cmentarz szpadlami
igrają z ciemnością w dole
szykują pokój gościnny na koniec

Marian strąca z łydki ziemię
i okruchy ze świecącej brody
po posiłku nie jest gładki
w pracy czasem wygląda dziwnie
coś do niego gada

gdy opuszczają taśmy
szarpie pamięć lepi się jak piach
do świeżo lakierowanych desek

skwar wygina południe na zegarze
w mieście z kościoła wynoszą sen
wszyscy mają czarne plecy

na budowie obok
żółte koparki zwolniły zmęczone szczęki
pocą się bardziej
żałobnicy w kondukcje jak trupy
żywe jest tylko słońce

Piotr Jemioło

[Jej głos jest mniej uchwytny]

Łukaszowi Jaroszowi

energia się rozprasza. szersze widmo
głosu ciągnie jej język; jeży też sierść
żywych, bezgłośnych zwierząt wokół

tóżka. ścielę cichą mszę.

9 lipca 2011r.

Maciej Kottowski

elemelek

dopiero z upadku wróbla, ciepły od lata, osiedlowy sarkofag z betonu
staje się nieszczelny jak skrzywienie huśtawki,
a na trzepaku głowami w dół udają tusze z rzeźni. chłopaki
z żalobą za paznokciami grzebią w piaskownicy
dół na głębokość ręki, aż do czarnego piasku.

dziewczyny niosą oklapłe rumianki i liście,
przerdzewiałe kapsle, krzyżyk z patyków od lodów.
w pudełku po ptasim mleczku podmuch
porusza piórami na brzuchu, i kiedy unosi się coraz wyżej
dopiero z lotu wróbla widać jak dobra jest bułka z ziemią.

Agnieszka Marek

no smoking

ojciec dogasa. czekasz na to tak mocno,
że nie zawstydzą cię skojarzenie z papierosem.
w białej tutce kołdry trochę cennych wspomnień,
najlepszych jak tytoń Virginia Gold. *proszę pani,*
w pani mężu ogień życia ledwo pełga –
lekarz prowadzący gasi nadzieję matki na ciąg
dalszy. odwracasz się na pięcie, już ci wolno.
szukasz wyznaczonego miejsca.

kubańskie cygaro jest ciepłe. dopiero od dziś
nie czujesz w nim smaku ojca,
który przychodził co noc.

Alicja Mazan-Mazurkiewicz

**Przyczynek do klasyfikacji kotów
i być może wierszy**

Ten tutaj, pierwszy z brzegu. (Choć rozpanoszony
na całe łóżko. O przepraszam, łożę).
Biała wyspa bezpchelna na oceanie z satyny.
Błogość na błogościach.
Najleniwsza z rozpust.

Tamten, ponoć niebieski.
Niebieski nie bardziej niż róża odmiany Blue Moon.
Niebieski nie dla przedszkolaków.
Niebieski *honoris causa*.

Ów bury najpocziwiej,
sarmacko wąsaty.
Chwalca bigosu, smalcu z majerankiem.

Bezwiedny akrobata, co na cztery łapy
spada. I zawsze na środek kanapy.

A jeszcze: pazurzasty,
giętki, spiczastouchy,
istny demon Memlinga
(dla kamuflażu bez motyli skrzydeł).

I nieostatni: z bursztynowym okiem
i drugim czarniawym, jak studnia, jak wybite okno,
otwarte na noc. Łapą zwichniętą powłóczy,
po jemu znanych ścieżkach.
Przetracony wiersz.

Wojciech Roszkowski

Okno, deszcz stuka w niedomknięte furtki

Zagłądanie do środka, przy zapalce: noc śpiąca snem
kamiennym, zapach drzew, młyny w dolinie miałą ciemność.

Więc biegnij, Lola, biegnij do tyłu. Przez aleje z krzyżami, gęste
od chrzęstu liści ulice i bramę szpitala. W ostry brzeg pustki,

która iskrzy zimnem sal, rozbiera cię z bieli, nakłuwa tysiącami
igieł skórę głowy. I wracają rude włosy, za chwilę przetykane

zielenią w nadrzecznych ogrodach, groszkiem i różą. Jest jasno,
będzie jaśniej. Kwiaty wypływają kwaśne pestki dżdzu.

Więc biegnij, Lola, biegnij do tyłu. Nad skraj czerwca,
tu zostaniemy na zawsze, nigdy Inni, nigdy martwi. Spójrz,

łódki z kory płyną do nas w górę potoku. Jeszcze chwila
i dogasa zapalka. Znowu porwie je wir, uniesie w powietrze.

Małgorzata Sochoń

to co stukało nam nad głową w lutym w środku nocy
to była mysz ciągnąca za sobą pułapkę

opowiadałeś później że gdy wynosiłeś ją za szosę
ugryzła cię w palec

dzisiaj nas odwiedziła
poznałam ją po złamanym ogonie

nie powiedziała mi nawet dzień dobry
tobie przedstawiła sześcioro swoich dzieci

Janusz Solarz

zaślubiny

przy moim biurku stoi wzniosły cmentarz
bawię się w chowanego pośród pochowanych
systematycznie powiększam inwentarz
poetów zakopanych w martwej bazie danych

tym razem chcę być późnym swatem
zabieram dwie trumienki w drogę
a w nich kobieta i mężczyzna
zwłoki i związki papierowe

Cyprianie spójrz za oknem rzeka
w jej biegu Henry Hudson szukał Chin
same by go znalazły gdyby mógł poczekać
don't be silly Emily—stop scratching your chin

to są poniekąd podróże niewyobrażalne
genialny polski biedak nie do końca czysty
i epileptyczka o duszy prowincjonalnej
osobno szukający dla siebie ojczyzny

Emilio spójrz za szybą brzęczy pszczoła
wiem że dla ciebie to wystanniczka nieba
a ty Cyprianie przegoń zmarszczki z czoła
ja jem gdy czytam—patrz kruszynka chleba

widmowa panno w obcisłym gorsecie
świat cały widzisz w czerwcowym ogrodzie
ten nędzarz Polskę widzi w całym świecie
Cyprianie przestań drapać się po brodzie

trwajcie sobie na wieczność w znakach zapytania
w wielokropkach myślnikach elipsach
w miejscach gdzie pauza zatrzymuje zdania
gdzie miłość to mrzonka lub apokalipsa

Cyprianie i Emilio stańcie pod jesionem
a Gerard Manley Hopkins udzieli wam ślubu
moja półka z książkami będzie dla was domem
podręcznym cmentarzem nawykłym do cudów

Arkadiusz Stosur

Życie wewnętrzne. Krajobraz naiwny

I stało się światło, padał deszcz,
Pies przebiegł drogę, przejechało auto, płakało dziecko.
Potem świat zatrzymał się, stanął w bezruchu
Na dłuższą chwilę, nawet zdrzemnął się
W upalne popołudnie, pod gruszą albo jabłonią.

To nie wszystko. Świątek z lipowego drewna
Zwiesił głowę tuż nad naiwną rzeką w naiwnym lesie
Malowanym przez niegłupiego artystę.
Mieszka tu niedaleko, trzecia chałupa
Od końca. Tam na wzgórzu, gdzie
Najlepiej widać wschód słońca.

Oj, lubi on wczesnie wstać pogapić się w niebo
I drzewa pogadać z ptakami i rysować rzeźbić
Albo lekko glinę ugniatać w kształty wyraziste
Ludzi zwierząt nawet aniołów.

Mówią że blisko tu do nieskończoności
Do ciszy wiatru i wiary w spokój obłoków.
Może się mylą może w wicherze jest tylko
Szum i niepokój a chmury przynoszą burzowy

Pył i ciemność.

A jednak dzieci wciąż wierzą
W letnią dojrzałość soczystych owoców
I magiczną moc rosy oblepiającej stopy biegnące po trawie o świcie.
Niewiadomo dokąd.

Kraków, 12 lipca 2011r.

Edyta Wysocka

SACRUM

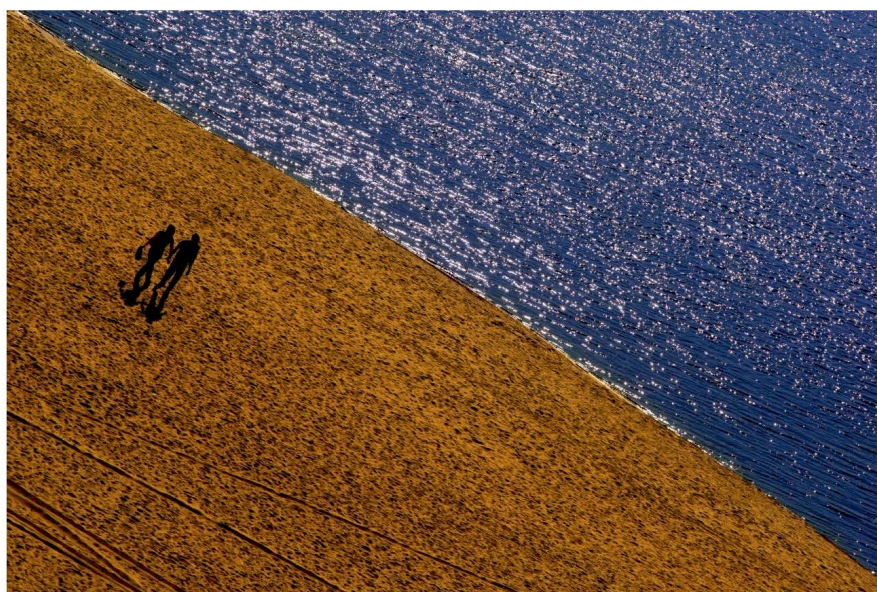
na wypukłościach polichromii światło.
żółtawy migot czyni złoto w kolorze samego Boga.
palce blegną po manuale I przenikają skórę.
to Mozart – błękitny jak powietrze i woda.
można by się wznieść do samego szczytu.
wstąpić w niebo jakby nigdy nie miało być paruzji.

doświadczam miejsc – ambry afrodyzjakalnej.
chłodne kontury wypełnia blask świec.
w skupionej modlitwie dłonie o smukłości Durera.

... słowa: - powoli – z namysłem – dotykają...
to z przyściennej ambony rozplywa się sacrum.

po mojej stronie czułość
drży
kryje się w drobinkach wiary –
w relikwiach – w róży Saronu –
wszędzie utajeniem
by nie sponąć jak w jądrze wszystkich reaktorów Fukushima
by nie sponąć w Tobie jak liryczna Butterfly.

zagryzam wargi.
mam ciało i blizny – nie chcę odczuwać.
blask monstrancji rozpościera skrzydła.
nie patrzę.
nie patrzy się w słońce.



Piotr Augustyniak

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
Niebiescy proletariusze i niebiescy futboliści	
Maciej Rzymski	11
Poszukiwacz skarbu	
*** (Myślę, że niebo)	
Drugi list św. Pawła do Tesaloniczan	
*** (Uznałem, że moim zadaniem)	
*** (Próbowałem obok Boga)	
Jacek Olszanowski - fotografia	17
Dorota Ryst	19
słaba rozdzielczość	
kana galicyjska	
piosenka budapeszteńska	
róg nowego świata i marszałkowskiej	
czesław miłosz w piastowie myśli o powstaniu	
Tomasz Bombała - fotografia	25
Anna Piliszewska	27
Subiunctivus	
Plusquamperfectum	
Imperfectum	
Praesens	
parabola o morzu	
Marek Konarski - fotografia	33
Włodzimierz Szymczewski	35
odpowiem później, teraz opowiemy mu o łabędziach	
pamiętam jego cierpki smak	
co mówią poóżółkle fotografie	
w spiżarni będzie rzeszoto	
nim podaruję ci scyzoryk	

Krystyna Falkowska - fotografia.....	41
Milena Rytelewska.....	43
erotyk I	
erotyk II. biały na białym	
erotyk III. rzeźnia	
erotyk IV. krajobraz zimowy	
erotyk VI. portret dziewczyny z jaszczurką	
Jan Drzewicki - fotografia.....	49
Wanda Gołębiewska.....	51
W płockiej katedrze	
Mariola Kruszevska.....	53
spacerkiem przez płocki park	
Joanna Nowak.....	55
wesołe miasteczko	
Grzegorz Gętka - fotografia.....	57
Jerzy Fryckowski.....	59
KRÓLEWSKA UCZTA	
MOKRA	
NASZE MATKI PŁOSZĄ ŚMIECHEM WIEWIÓRKI	
DWA KSIĘŻYCE	
JESTEM TWOIM NAŁOGIEM	
Kamila Pawluś.....	65
sądzik na żywca	
spótgłoski	
królowa	
ułożona i doprana	
przekład	
Janusz Radwański.....	70
Słownik domyslny	
Jello Biafra spotyka Magdę Umer, wycina jej numer i odjeżdża w stronę zachodzącego słońca.	
Krzyżaki	

Chalwa zwyciężonym W obronie własnej	75
Jan Belcik	75
Jeszcze jedna historia	
Magdalena Bialik	77
Pokój numer 17	
Beniamin Maria Bukowski	79
Amerykańskie wydanie Biblii	
Dorota Grzesiak	81
Schumann, Gogh i kto tam jeszcze.	
Tadeusz Hutkowski	82
Gorący asfalt i dzwony	
Piotr Jemioło	84
[jej głos jest mniej uchwytny]	
Maciej Kotowski	85
elemelek	
Agnieszka Marek	86
no smoking	
Alicja Mazan-Mazurkiewicz	87
Przyczynek do klasyfikacji kotów i być może wierszy	
Wojciech Roszkowski	89
Okno, deszcz stuka w niedomknięte furtki	
Małgorzata Sochoń	90
*** (to co stukało)	
Janusz Solarz	91
zaślubny	
Arkadiusz Stosur	93
Życie zewnętrzne. Krajobraz naiwny	
Edyta Wysocka	95
SACRUM	
Piotr Augustyniak- fotografia	97

